

Janina Kowal-Szymańska

W OBOZACH GULAGU 1950-1955

Nazywam się Janina Kowal zamężna Szymańska. Jestem córką Józefa i Marii. Urodziłam się 5 listopada 1924 roku we Lwowie. Mieszkałam we Lwowie przy ul. Tarnowskiego 27 m.3.

W czerwcu 1939 roku ukończyłam siódmą klasę szkoły powszechnej im. św. Zofii i od września miałam uczęszczać do gimnazjum im. św. Jadwigi.

Do żadnych partii nigdy nie należałam. Ojciec mój zmarł, gdy miałam dwa lata. Matka była pracownicą fizyczną, samotnie mnie wychowującą.

W dniu 17 września 1939 roku, w słoneczny ranek, dotarła do nas wiadomość, że do Lwowa wkraczają wojska bolszewickie. Ulica Tarnowskiego jest położona prostopadle do ulicy Zielonej, przez którą wjeżdżały bolszewickie czołgi. Pobiegłam - jak wielu ludzi - zobaczyć. Pierwsze wrażenie było okropne. Żołnierze wychyleni z włazów, z rewolwerami w rękę skierowanymi w ludzi.

Pamiętam, ludzie chodzili bardzo smutni, dezorientowani, chociaż też byli i tacy, którzy cieszyli się, że nareszcie robotnicy będą mogli godnie żyć, boć to przecież władza robotnicza. Niedługo jednak cieszyli się.

W tym samym dniu, popołudniu, pogoda zmieniła się całkowicie - jakby powiało złą wróżbą - zrobiło się bardzo zimno i zaczął padać deszcz. W tym roku zima przyszła wcześniej i bardzo mroźna. Nie było co jeść, nie było czym palić i zaczęły się masowe wywózki polskiej ludności na Sybir.

Pierwsze komunikaty były skierowane do wszystkich, żeby stawili się w swoich miejscach pracy.

Ja jako 15-letnia dziewczyna nie wiedziałam, co ze sobą zrobić? Znajomy Ukrainiec poradził, bym zapisała się do 3-letniego seminarium nauczycielskiego. Tam uczniowie otrzymywali stypendium, to pozwalało mieć chleb. Bardzo trudno było mi w tej szkole, ponieważ język wykładowy był ukraiński, a ja nie znałam nawet liter. Nie ukończyłam tej szkoły, gdyż rozpoczęła się wojna niemiecko-rosyjska.

W celu paszportyzacji kazano złożyć w milicji metrykę urodzenia i zaświadczenie z administracji domów o zameldowaniu. Nikogo nie pytano, jakie chce obywatelstwo, wszyscy mieli wpisane w paszporcie: "obywatel USRR".

Już po miesiącu zaczęły rozchodzić się wieści, że bolszewicy w nocy wywożą całe rodziny, a do ich mieszkań sprowadzają się rodziny rosyjskie. Zaczęły się nieprzespane noce, ponieważ przeważnie przed północą podjeżdżały pod bramę samochodu, słychać było na schodach stukot żołnierskich buciorów, lęk ścisnął za gardło, a odgłos tych kroków zdawał się nie do zniesienia. Noce pełne strachu i grozy. Z naszej kamienicy tym razem nikogo nie wywieźli, ale kilka nocy mieliśmy nieprzespanych. Z innych kamienic wywieziono wiele osób, ale ja osobiście nie znałam nikogo.

Kiedy rozpoczęła się wojna niemiecko-rosyjska i do Lwowa wkroczyły wojska hitlerowskie, lotem błyskawicy rozeszła się okropna wieść, że bolszewicy wycofując się wymordowali wszystkich więźniów we wszystkich więzieniach i starali się je spalić. Osobiście nie byłam pod więzieniami, bo po prostu mama nie pozwoliła, ale słyszałam opowiadania naocznych świadków o okropnościach tej zbrodni. Po otwarciu cel rozniósł się taki fetor rozkładających się ciał pomordowanych, że przywożono skrzynie pełne butelek wody kolońskiej i perfum, rozbijano na ulicy te butelki, by choć trochę złagodzić nieznośny zapach.

Podczas okupacji niemieckiej pracowałam w fabryce likierów przy ulicy Grodeckiej.

Ponowne wkroczenie Rosjan napawało nas radością i nadzieją, ponieważ zobaczyliśmy polskich żołnierzy, którzy szli ramię w ramię z Rosjanami. Nadzieją, ponieważ byliśmy pewni, że jeżeli Polacy walczą razem z Rosjanami i przelewają krew, to Polska musi być wolna i nawet nam przez myśl nie przeszło, że mogą nam ukraść wschodnią Polskę,

W 1946 roku, gdy rozpoczęła się tzw. "repatriacja" Polaków ze Lwowa, my nie wyjechałyśmy. Po pierwsze matka była po ciężkiej operacji, a ja byłam dość wątła. Po drugie: nie mając na zachodzie nikogo z rodziny, nie miałyśmy odwagi wyruszać w nieznane. Tu byłyśmy już zagospodarowane, tym bardziej, że kilka znajomych rodzin polskich zostało we Lwowie, więc myślałyśmy: "jakoś to będzie".

Pracowałam jako repaserka w spółdzielni pracy, z wypracowanej kwoty otrzymywałam tylko 25 %, to było bardzo niesprawiedliwe. Ażeby utrzymać nas, nieraz musiałam pracować do późnych godzin.

W 3-pokojowym mieszkaniu zajmowałyśmy z matką dwa mniejsze pokoje, trzeci - duży - był - jeżeli tak można nazwać - rotacyjny. Mieszkały tam różne rodziny, kuchnia była wspólna.

W ostatnich latach mieszkała tam Nina Zwierzańska, podobno Polka, z Leningradu. Żyliśmy ze sobą w poprawnych stosunkach, a że była osobą samotną, zawsze zapraszałyśmy ją na święta, nigdy jednak nie wiedziałyśmy, gdzie pracuje. Okazało się później, że osoba ta przyczyniła się do naszego nieszczęścia. Jeden z naszych pokoików wynajmowałyśmy pielęgniarce szpitalnej, Ukraince z pod Charkowa, Halinie Niedilko. Przez okres naszego wspólnego życia z obiema paniami nie było żadnych nieporozumień. Czasem jednak zdawało się nam, że jak z mamą wychodziłyśmy na trochę dłużej, to po powrocie zauważałyśmy ślady jakby ktoś był w naszym pokoju. Nie robiłyśmy jednak z tego problemów, bo może nam się tylko tak zdawało, przecież każdy zamykał swój pokój na klucz. Natomiast po pewnym czasie zorientowałyśmy się, że Zwierzańska pod byle jakim pozorem wkraczała do naszego pokoju, gdy nas ktoś odwiedzał.

W ostatnim tygodniu marca 1950 r. - zwyczajem NKWD - o północy zrobiono nam kontrolę dokumentów i rewizję w naszym pokoju. W rezultacie skonfiskowano parę książek wydanych do 1939 roku. Nie pamiętam już dokładnie, jakie to były książki, ale na pewno między innymi była tam podręcznik do nauki historii dla VII kl. i inne nie mające już znaczenia, w tym okresie. Aresztowano matkę, nie pozwolono nawet jej się ubrać, na nocną koszulę zarzuciła płaszcz. Byłam zrozpaczona, nie wiedziałam co robić? do kogo się udać? W tym czasie pracowałam z Ukrainką, której mąż był milicjantem. Myślałam, że on zna praktyki swojego rządu i coś mi poradzi. Oni uspakajali mnie, że na pewno matkę wypuszczą, że to nie jest powód do więzienia człowieka, że wszystko się wyjaśni i mama lada dzień wróci, że to już pięć lat po wojnie to jest błaża sprawa. Niestety, sprawa przybrała inny obrót.

Otóż w dniu 1 kwietnia 1950 roku, w południe, wezwano mnie do prezesa spółdzielni. Tam już czekało na mnie trzech mężczyzn, z którymi musiałam pojechać do mieszkania. Pokazali mi nakaz aresztowania. Wezwano dozorczynię i sąsiadkę. Pozwolono mi odłożyć dla mnie i dla matki kilka osobistych rzeczy, spakować je w poszewki. Przystąpiono do spisywania rzeczy, ale tylko nowych, rzeczy używanych nie brano pod uwagę.

Przewieziono mnie do więzienia przy ul. Łąckiego. W celi o powierzchni 13-15 m² było 30 osób. Kiedy wepchnięto mnie do celi, dostałam zawrotu głowy. Wszystkie kobiety siedziały na podłodze.

Było okropnie duszno. Byłam półprzytomna z przerażenia i strachu. Śledztwo nie trwało długo, na przesłuchaniu byłam trzy, może cztery razy, już 23 maja przewieziono nas do sądu. Prokurator odczytał akt oskarżenia. Zrobiono z nas nieomal wrogów narodu. Dano nam obrońcę z urzędu, który prosił o łagodny wymiar kary za nasze "przestępstwo". Dano nam nawet powiedzieć "ostatnie słowo". Na moje stwierdzenie, że nie jesteśmy winne, że ani w prasie ani w radio nie było powiedziane, że książki wydane w 1939 roku należy zniszczyć, otrzymałam odpowiedź, że to prawda, ale trzeba się było samemu domysleć. Nie zdawałam sobie jeszcze wtedy sprawy z celu i tendencji zorganizowania tego sądu. Staralam się całą nie istniejącą winę wziąć na siebie. W swej naiwności myślałam, że matka jako pracownik fizyczny, bez wykształcenia, nie może odpowiadać za literaturę i powinna być całkowicie uniewinniona. Odczytano wyrok. Matka jako nie mająca nic wspólnego z literaturą otrzymała 8 lat, ja natomiast - 10 lat według paragrafu 54 pkt. 10 część II - przechowywania antysowieckiej literatury.

Z sali sądowej przewieziono nas do więzienia przy ul. Kazimierzowskiej i od tej chwili byliśmy zawsze razem z mamą. Nie pamiętam już, jak długo byliśmy w Brygidkach, bo tak nazywano to więzienie. Stąd przewieziono nas do punktu przesyłkowego przy ul. Pełtewnej. Do tej pory w celach spotykałam tylko Ukrainki i jedną Żydówkę rosyjską, prokuratora. Tu, w punkcie przesyłkowym spotkałam osiem Austriaczek. Choć trudno było się z nimi porozumieć, trochę "na migi", dowiedziałyśmy się, że z ulicy zostały wciągnięte do samochodu, osądzoną na 25 lat każda i teraz oczekują na transport w głąb Rosji. Na punkcie przesyłkowym byliśmy około trzech tygodni, dopóki nie skompletowano składu. Następnie załadowano nas do bydłych wagonów. Po obu stronach wagonu były dwu-piętrowe prycze. Trudno mi dziś określić ile było nas w wagonie, ale na pewno nie mniej niż 24 osoby. Po środku wagonu stał żelazny piecyk, w którym nie zawsze miałyśmy czym palić, może w zależności od humoru konwojenta. Po drodze było bardzo zimno, już leżał śnieg. Jak długo jechałyśmy, nie pamiętam, w każdym razie zdawało się nam, że całe wieki.

Pamiętam, że kiedy kazano nam wychodzić z wagonów, było ciemno. Obie z mamą byliśmy na pół przytomne, miałyśmy gorączkę, która dochodziła do 40 stopni, od razu wzięto nas do szpitala. Mama miała różę na głowie, a ja okropną anginę.

Byłyśmy w Świerdłowsku. Po dojściu jako-tako do zdrowia zawieziono nas do obozu zamkniętego, który nazywał się "posiołek Przystań". Tu spotkałyśmy tylko dwie Polki: pielęgniarkę Marysię ze Lwowa /nie pamiętam już jej nazwiska/ i panią Filową z Tarnopola, starszą już osobę. To nie był obóz wyłącznie dla więźniów politycznych. Mama od razu otrzymała grupę inwalidzką, więc nie musiała chodzić do pracy, to jej zaoszczędziło trochę zdrowia, w tym czasie miała już 50 lat. Natomiast ja musiałam pracować bardzo ciężko, ponad swoje siły. Trzeba było obdzierać z kory drzewa poprzednio już ścięte, oczyszczone z gałęzi i ułożone w sągi. To chyba zrobili mędzyni, których wywieźli na inny odcinek, a nas przywieziono tu niby do lepszej pracy. Te kłody należało następnie ciąć na mniejsze kawałki według podanych rozmiarów. Piły były ręczne i tępe. Potem trzeba było to drzewo ładować do wagonów. Naturalnie brygada nasza nigdy nie wyrabiała normy, więc dostawałyśmy mniejszą porcję jedzenia i chleba tylko 300 gramów zamiast 700 gramów.

Tu spotkałyśmy panią Marię Bort, była to osoba zagadkowa, nigdy nie chciała nic o sobie mówić, miała około 50-55 lat. Przynosiła mi swoją porcję chleba, mówiła, że 700 gramów to dla niej za dużo, ona nie chodziła już do pracy.

My natomiast do miejsca pracy musiałyśmy chodzić 3 do 4 km z konwojem i psami. Wychodziło się po ciemku i wracało jak już było ciemno. Niedziele miałyśmy wolne, można było wtedy poleżeć, a ciało było całe obolałe.

Było tam takie powiedzenie, że "zima trwa tylko dziewięć miesięcy, a reszta to lato i lato". W zimie dokuczał mróz, a w lecie chmary komarów i muszki, która wciskała się do oczu, nosa i ust. Którejś tam zimy przez trzy dni nie chodziłyśmy do pracy, ponieważ mróz dochodził do 50°C. Przy -45°C jeszcze chodziłyśmy.

Po dwóch latach przeniesiono nas na inny posiołek - Łoźwa. W tym nieszczęściu, jakie nas spotkało, miałyśmy trochę szczęścia, że cały czas - aż jak się okazało później - do końca byłam razem z matką. Ja osobiście wciąż uważam to za cud, ponieważ wszystkie rodziny były zawsze rozdzielane.

Tu, na Łoźwie już nie wychodziłam za bramę do pracy. Pracowałam w magazynie osobistych rzeczy. Musiałam być na miejscu godzinę wcześniej przed pójściem wszystkich brygad do pracy, w południe otwierałam magazyn na godzinę i wieczorem na dwie.

Wszędzie prawie były jednakowe baraki z cztero-osobowymi pryzmami, przeważnie po 10 takich pryzm w każdym baraku. Odstępy między pryzmami wynosiły około 50 cm.

W tym obozie w Łożwie spotkałyśmy już kilka Litwinek, Łotyszek i Estonek. Nie wiem za co dostały wyroki, na pewno za nic poważnego. Wszystkie byłyśmy nieufne, zaleknione, byłyśmy ze sobą w dobrych stosunkach, lecz na dystans. One otrzymywały dość często paczki od rodzin. Nie chciałam się blisko koło nich kręcić, żeby nie myślały, że mi zależy na poczęstunku, i tak miały dość adoratorów.

Warunki w obozach były okropnie prymitywne. Około 40 osób mieściło się w jednym baraku. Woda na teren obozu była przywożona z zewnątrz w beczkach, prawie limitowana. Raz na tydzień szło się do łaźni, która mieściła się na terenie obozu. Dostawało się szafliczek wody i kawałeczek mydła do kąpieli, to musiało wystarczyć na cały tydzień. Wszy nie było, ale pluskwy dawały się we znaki. Co pewien czas, jak już nie można było wytrzymać, przywożono drzewo i kocioł, wrzącą wodą parzyło się pryzce. Nigdy jednak nie udało się całkowicie wytępić pluskiew, ale po takim parzeniu chociaż przez pewien czas można było spokojnie spać.

W 1954 roku z obwodu Świerdłowska przewieziono nas do Astrachania nad morzem Kaspijskim. Tu spotkałyśmy już więcej Polek.

P. Stefania Węgierska, lat około 55-60, syna miała w Gliwicach. Po naszym przyjeździe do Wrocławia miałam z p. Stefaną W. pisemny kontakt, później raz mnie nawet odwiedziła.

P. Zofia Onyszkiewicz, około 45-50 lat, prawdopodobnie nauczycielka z Wilna, z nią nie miałam już później kontaktu.

P. Stefania Biesiadecka, lat około 40-43, pochodziła ze Lwowa, i pozostała po odbyciu wyroku we Lwowie, nie mam z nią kontaktu.

W tym obozie nękało nas ogromne gorąco. Na dworze panował taki upał, że mokre prześcieradło, którym okręcałyśmy się, wysychało w przeciągu kilku minut, a wody było brak.

Po śmierci Stalina, już od połowy 1954 r. zaczęto wypuszczać ludzi z obozów, wtedy i dla nas pojawiła się nadzieja odzyskania tak upragnionej wolności.

W dniu 5 lutego 1955 r. też i nas zwolniono. Pozwolono nam nawet jechać do Lwowa. W pierwszej chwili radość nasza była wielka, ale kiedy wysiadłyśmy na dworcu we Lwowie, ogarnęła nas czarna rozpacz, bez pieniędzy, bez dachu nad głową, w którą stronę się udać?

Pomimo, że byłam w swoim rodzinnym mieście i wiedziałam, że mam tu dużo znajomych, nie można było bez uprzedzenia zwalić się komuś na głowę. Wszyscy znajomi mieli bardzo ograniczoną powierzchnię mieszkalną, z tego zdawałyśmy sobie sprawę. Nasz bardzo skromny bagaż zostawiłyśmy w przechowalni i poszłyśmy do katedry, gdzie przed obrazem Matki Boskiej złożyłyśmy hołd i podziękowanie za wcześniejsze odzyskanie wolności, prosząc równocześnie o dalszą opiekę.

Wprawdzie wiedziałam, że mam we Lwowie kuzynkę, ale ona nie miała własnego mieszkania. Wraz z mężem mieszkała na sublokatorce, więc nie mogłam mieć nadziei na zatrzymanie się u niej. Jednak poszłyśmy do niej. Gospodyni, u której mieszkała kuzynka, zgodziła się, żebyśmy nocowały w pokoju kuzynki dopóki nie znajdziemy sobie innego locum. Znalazłyśmy zrozumienie u tej pani, ponieważ mąż jej też niedawno wrócił z obozu. Zaczęłam odwiedzać wszystkich znajomych i w dość krótkim czasie znalazłam pracę i sublokatorkę. Wprawdzie spałyśmy razem z mamą na jednym tapczanie i we wspólnym pokoju z gospodynią, ale nie mogłyśmy przecież nadużywać długo czyjejś uprzejmości.

Na szczęście w 1956 r. Rosjanie otworzyli granicę i pozwolili Polakom powracającym z obozów na wyjazd w ramach łączenia rodzin, ale trzeba było mieć zaproszenie od rodziny. Nie mając rodziny w Polsce, nie mogłyśmy dostać zaproszenia, więc zwróciłam się do naczelnika NKWD o umożliwienie nam wyjazdu do Polski. Oczywiście otrzymałam negatywną odpowiedź. Byłam kilka razy i wciąż ta sama odpowiedź: "Po co pojedziecie? tam jest źle, nie będziecie mieli gdzie mieszkać." Za każdym razem odpowiadałam, że chcę być między swoimi, choćbym miała raz dziennie jeść kartoflaną zupę. W międzyczasie napisałam do wszystkich instytucji o przydzielenie nam mieszkania oraz zwrot zagarniętego mienia. Oczywiście zdawałam sobie sprawę, że moja sprawa nie będzie kałatwiona pomyslnie, ale będą musieli czytać moje odwołania i odpowiadać na nie. Ostatnią moją deską ratunku był konsul polski w Kijowie, dokąd zwróciłam się o umożliwienie nam wyjazdu do Polski, pomimo, że nie posiadamy żadnej rodziny, która mogłaby nas zaprosić. Udało się. Dostałyśmy pozytywną odpowiedź. Prawie natychmiast wyjechałyśmy ze Lwowa. Było to w dniu 27 grudnia 1956 r.

W czasie podróży ze Lwowa do Przemyśla poznałyśmy dwie panie, matkę i córkę, Lwowianki, które jechały do rodziny do Wrocławia.

W Urzędzie Repatriacyjnym w Przemyśle powiedziano nam, że możemy jechać wszędzie oprócz Warszawy, Krakowa i Gdyni, bo to są miasta już zamknięte. Obie poznane w pociągu panie poradziły nam, żebyśmy z nimi pojechały do Wrocławia. Kuzynki tych pań, panie Eugenia Stec i Maria Dobrowolska, są członkiniami Ligi Kobiet i na pewno będą mogły nam pomóc w urządzeniu się we Wrocławiu. Rzeczywiście, panie te okazały się bardzo serdeczne. Po przez swoje znajomości i kontakty pomogły nam znaleźć mieszkanie sublokatorskie u pp Meissnerów przy ul. Borelowskiego.

Od 21 stycznia 1957 r. podjęłam pracę jako referent zatrudnienia i płac w Wojewódzkim Przedsiębiorstwie Handlu Obuwem. Oczywiście ówczesny dyrektor, Gelentner, nie miał ochoty mnie zatrudnić, ponieważ uważał, że po tak długiej nieobecności w kraju powinienam mieć trudności z pisaniem i wysławianiem się w języku polskim. Taki przynajmniej podał powód. Ale miałam dwóch życzliwych sobie panów: ś.p. Jana Kowalczyka, kierownika działu sprzedaży, i Jana Ciska, przewodniczącego związku zawodowego, którzy po zapoznaniu się z moim życiorysem postanowili pomóc repatriantce i wcale mnie nie znając - poręczyli za mnie.

Z otrzymaniem mieszkania też miałam wiele kłopotów. Repatrianci otrzymywali mieszkania w ciągu trzech tygodni lub miesiąca, my dopiero po ośmiu miesiącach.

Ale wracając jeszcze do naszej wywózki, po powrocie z obozu spotkałyśmy się z naszą dawną sublokatorką, pielęgniarką Haliną Niedilko. Opowiedziała nam ona, że po naszym aresztowaniu kazano jej wyprowadzić się, Zwierzyńska otrzymała inne mieszkanie, natomiast do zajmowanego poprzednio przez nas mieszkania wprowadził się naczelnik NKWD. Znalezione więc sposób, ażeby dać mieszkanie naczelnikowi. Wystarczyło dwie bezbronne kobiety osądzić i wywieźć. Takie jest powiedzonko w NKWD: "Dajcie mi człowieka a sprawa się znajdzie."

Taka to nieciekawa a bardzo przykra w skutkach historia skrawka naszego życia.

Janina Kowal-Szymańska

Wrocław, 28.03.1990 r.